

Zachnąłem się kiedyś (jakieś 15 lat temu?), kiedy w jednym z wywiadów powiedziałaś w ówczesne swoje urodziny, że jesteś „człowiekiem, który życie ma już za sobą”. Zareagowałem wtedy uwagą, że tak mówić nigdy nie należy i miałem rację: gdyby tamto zdanie miało być prawdziwe, nie doszłyby do Twoich późniejszych doświadczeń turystycznych: Malta i Tunezja, Litwa i Bawaria, Izrael i... Zaczynam rozmowę od tego, gdyż wydaje się, że motyw wędrownia dominuje w Twoim życiu – podróży zarówno w głąb granicy na scenie sztuki i po osobowościach odtwarzanych postaci, jak i w dosłownym sensie wyjazdów zagranicznych.

– Dziwne, że tak wówczas powiedziałam, bo bardzo rzadko z czegoś rezygnuję. A podróżowanie jest rzeczywiście moją już nie pasją, ale wręcz obsesją. Doszło do tego, że kiedy widzę przelatujący samolot, myślę sobie: ech, czemuż nie ma mnie tam w środku! Jeśli w wakacje nie zobaczę czegoś nowego za granicą, to uważam, że urlop mam stracony. Tylko dwa razy zdarzyło mi się wyjechać z teatrem, poza tym jeżdżę niestety za własne pieniądze. W r. 1953 byłam po raz pierwszy na Węgrzech i w ZSRR, a w 1957 objechałam Włochy i wtedy mnie „kopnęło”. Tak już co roku... Najwyżej cenię sobie samodzielnie wyprawę po 13 stanach Ameryki – 14.000 km w 7 tygodni; na drugim miejscu stawiam Izrael. Wracam z błyskiem w oku.

– Czy to nie jest forma uciekania od siebie?

– Nie, to ciekawość świata, krajobrazu, obyczajowości. Koleżdy nazwali mnie „kupcową wrażeń”, która chce kupić sobie jak najwięcej przeżyć, zaznać przyjemności zobaczenia i powąchania świata. W domu rysuję sobie z radością i dumą przebyte trasy na mapie (w Europie nie ma już miejsca), a wszystko pozostaje w siateczce pamięci. Z tej okazji odbywam też „podróże po ludziach”. Obserwuję pracę zagranicznych aktorów, spotykam się z interesującymi, wspaniałymi osobami – los obdarzył mnie wieloma takimi znajomościami, miałam szczęście zaprzyjaźnić się np. z Peterem Brookiem. Chciałam napisać o nich książkę, ale nie napiszę. Z braku czasu nie robiłam notatek od razu, a odtwarzanie tego teraz wstecz byłoby nieuczciwe.

KOMENTARZ: Zgubi na wycieczce srebrny klips, z rozstąpienia zapodzieje gdzieś przeciwność okulary, zostawi na plaży torebkę, zarzuci klucz od hotelowego pokoju – ale dokładnie orientować się będzie w kierunkach jazdy i topografii nieznanego miasta, dostrzeże i zapamięta wszystkie szczegóły dookola.

WSTĘP DO CURRICULUM VITAE: W wieku 5 lat mówiąca długi monolog pajaca zakochanego w Lalce. Jako uczennica pisała wiersze i redagowała gazetkę. Córka dyrektora wadowickiego gimnazjum, występowała na szkolnej scenie w roli Balladyny, Anieli i Antygony, zawsze mając za partnera Karola Wojtyłę z tego samego roku w męskim gimnazjum, który grał Kirkora, Hajmona i Gucia. W „Nie-Boskiej komedii” wolon Dziewicy zapalił się od licharza, w tragedii Sofoklesa runęła kolumna z papieru, a „Śluby panieńskie” były prawdziwym triumfem. Deszczowym wierszem Staffa wygrała konkurs recytatorski (Wojtyła wygłaszał Norwidowego „Promethidion”).

Polonistka na Uniwersytecie Jagiellońskim. Świetny rok: Hołuj, Kydryński, Zbijewska, Lau, Żukrowski, Kwiatkowski. Jeden rok szczęścia! Po wybuchu wojny przewozi z Krakowa do Wa-

dowic przez „zieloną granicę” rzeki Skawy listy od Karola Wojtyły do jego serdecznego przyjaciela, Mieczysława Kotlarczyka, również wadowiczanina, a z tej korespondencji powstał zarząz Teatru Słowa. Lata są głodne – kończy kursy zecerski, fryzjerski i szycia, a na wieść o podziemnym uniwersytecie przeno-

– A więc, przepraszam, od kiedy liczy się Twoje sceniczne 55-lecie?

– Dokumenty zaświadczenia, że drogę aktorską rozpoczęłam w sierpniu 1941 w podziemnym Teatrze Rapsodycznym, który pierwszą premierę dał 1 listopada. U tych początków stał Ze-

rukę z... taśm filmowych; druga z peruk, które przeszły do historii Starego Teatru, składała się z pudełek po paście do butów Erdal z reklamową żabą.
– Wyciągam jeszcze z pamięci Rachelę w „Weselu”, Markizę w „Niebezpiecznych związkach”, sztuki Szekspira, Millera, Geldherodego...

W r. 1984 zmieniła specjalność pedagogiczną na Wiersz i Prozę, a w 1991 na Kulturę bycia (na I roku) i Wymowę (na IV) przy każdym dyplomie. W ciągu 34 lat nie opuściła żadnych egzaminów wstępnych – w zeszłym sezonie 543 kandydatów, w ostatnim 438. Spośród 428 jej uczniów 37 jest dziś wybitnymi

czegoś, raczej, że do czegoś dochodzimy wspólnie.

DODATEK NADZWYCZAJNY: Parokrotnie zdarzył się film, dwa warto wspomnieć – „Popiół i diament” („Kiedy teraz zobaczyłam na ekranie moją Staniewiczową, pomyślałam sobie: no, no, chyba nieźle”) i „Lalka” („grać z takimi partnerami, jak Dmochowski i Kreczmar, to było coś”). Inny rozdział to pisanie: felietony wspomnieniowe w radiu i reportaż z podróży w prasie. Wspólnie z Ewą Otwinowską książeczka „Dama być... ba!” („Bardzo dobrze się przy tym bawiłyśmy”) oraz dwie sztuki teatralne, z których jedną grano w Starym Teatrze, a komedia „Ogłoszenie matrymonialne”, doskonale wystawiona w Warszawie z Ireną Kwiatkowską i Pokorą, objeżdżała całą Polskę („Dużo na tym zarobiłyśmy”). Szereg publikacji odnoszących się do wadowickich i rapsodycznych kontaktów z obecnym papieżem.

– Pojęcie emerytki jest w Twoim przypadku śmiechu warte, a 55 lat pracy zawodowej nie zdaje się ciążyć na aktywności, wyobraźni, świeżości odbioru, ciekawości świata i zdolności przeżywania jego uroków. Jaka jesteś, Halino Kwiatkowska?

– Powiem banalnie: jestem szczęśliwa, jeśli jestem potrzebna, jeśli mam cel i coś robię – czy jest to tort na imienniny, czy pójście do szkoły, czy podróz; nie umiem niedzielnie wypoczywać. Mam opinię osoby bardzo nieprzystępnej (taka wyniosła mina!) i długo byłam „zasadnicza”, skłonna do potępiania ludzi za ich postępowanie. Tolerancji nauczyli mnie mąż i kontakty ze studentami w szkole – staram się być tolerancyjna i wydaje mi się, że teraz już jestem. Przyjaciół nie mam zbyt wielu, ale jeśli już mam, to jestem im wierna (do czasu nadużycia zaufania). Barwa zawodu aktorskiego polega na tym, że można grać albo anioła, albo diabła (przy czym ten ostatni jest ciekawszy), a każda rola to biała plama do zamalowania różnymi

Rzadko rezygnuję

Z HALINĄ KWIATKOWSKĄ, aktorką i pedagogiem, w 55-lecie pracy artystycznej – rozmawia Władysław Cybulski



Fot. Bogdan Majewski

si się zimą 1941 na stałe do Krakowa. Na tajnych kompletach uczy 17 uczniów za życie, za jedzenie.

Kotlarczyk... Oni obaj plus trzy młode panie: Halina K., Danuta Michałowska i Krystyna Ostaszewska – tworzą zespół rapsodyków. Na początek „Król Duch” – świeca na pianinie, Chopin, maska Słowackiego na ścianie, otwarcie księgi, a potem już tylko żywe słowo, bez gestu, bez kostiumów. Do r. 1944 siedem premier („Pan Tadeusz”, „Kasprowicz”, „Wyspiański, Norwid...”). Przedstawienia dawano konspiracyjnie w prywatnych salonach, w mieszkaniu Kudlińskich, a próbowano w suterenach – „katakumbach” na Tynieckiej, gdzie mieszkał Wojtyła. W trakcie tych występów, mniej więcej w połowie okupacji, powiadomił on kolegów o swojej decyzji. Tadeusz Kudliński przez całą noc próbował mu ją wyperswadować, m.in. powołując się na przypowieść o talentach, ale osiągnął tylko tyle, że zamiast planowanego klasztoru o surowej regule, Wojtyła wybrał stan duchownego świeckiego.

Zdawała egzaminy, kiedy wojska radzieckie wkroczyły już do Krakowa i w r. 1945 panna Królikiewiczówna została żoną pisarza Tadeusza Kwiatkowskiego, rok później urodziła córeczkę i w r. 1947 odeszła z Teatru Rapsodycznego, ponieważ ciągnęła ją normalna scena. Węz Studio Galla i wspaniały sezon w Teatrze TUR („Śluby panieńskie”, „Klub Kawalerów”, „Madame Sans-Gene”, „Szklanka wody”), a wreszcie awans do Teatru im. Słowackiego z debiutem w „Mieszczanach” Gorkiego.

lwerowicz jako egzaminator, potem były jeszcze lekcje u Marii Duleby i wygrany konkurs u Leszczyńskiego. Dużo pomogła mi Zofia Jaroszevska (byłam jej siostrzenicą w „Obcym cieniu”), bo należało przełamać w sobie styl rapsodyczny. Z tego okresu Irina w nagrodzonych „Trzech siostrach” to było coś! Po rozdziale teatrów znalazłam się w Starym, gdzie grałam dużo, ponad 60 ról, w tym główne w dwu sztukach Shawa. Doskonale czułam się jako Warszawa w bardzo dobrym przedstawieniu „Wiśniowego sadu” – zawsze biegłam do teatru z rozkoszą, żeby to grać. Sporo radości i satysfakcji dała mi też Pericola w „Złotej karocy”, dużo występowałam wtedy w komediach. Pierwsza śpiewana rola – 500 razy! – w „Romansie z wodewilu”.

– A wspomnienia z czysto kobiecego punktu widzenia?

– Proszę bardzo. Jako Stellę w „Tramwaju zwanym pożądaniem” nosiłam mnie na rękach Wiktor Sadecki (mam śliczne zdjęcie!). W „Apelacji Villona” robiłam striptiz, ubrana jednak w cielisty trykot z wymalowanym biustem. Moja Hilda w „Skandalu w Hellbergu” też myślała się na scenie nago. W „Czarnej komedii” grałam pijaczkę, a w „Zmierzchu” Babela wyglądałam ohydnie jako Dwojra, tańcząc majufes lub cała zaszlochana wyjąc na dachu do księżycy (zaledwie 8 zdań tekstu, ale Jerzy Jarocki tak rozbudował tę rolę, że stała się duża i dla mnie ważna). We wspomnianej „Apelacji...” musiałam się specjalnie uczyć chodzić po schodach z 7-metrowym trenem w kostiumie od Skarżyńskich, a w sztuce Witkacego Szajna ubrałam mnie w pe-

– Ostatnia moja rola to Matka w „Końcówce” Becketta i w r. 1981 przeszedłam na emeryturę.

– Z jakim uczuciem?

– Że mogłam zrobić więcej, mam niedosyt ról. Może to był pech, że nie zawsze obsadzano mnie w tym, o czym marzyłam. W każdym razie, kiedy w 40-lecie pracy odchodziłam z teatru, pies z kulawą nogą nie powiedział mi ani słowa, kwiaty dał mi tylko wspaniały kolega Tadeusz Łomnicki.

– Pomówmy więc o czymś weselszym: 20 lat w „Jamie Michalika”!

– To zostało mi w głowie i w sercu, choć dziwię się teraz, jak wytrzymałam nocne i wyjazdowe spektakle trzy razy w tygodniu, godząc to z teatrem i zajęciami w szkole. Nieustającą radością były jednak występy na tej scenie. Teatr to granie z partnerami, w kabarecie partnerem jest publiczność – a odzew był wspaniały, istny run na Michalika. 3 autorów, 6 wykonawców, jeden akompaniator; był to jedyny w Polsce kabaret utrzymujący się z biletów bez żadnych dotacji. Michalik stanowił zarazem świetną szkołę dla mnie – to, czego się tam nauczyłam, starałam się przekazać swoim studentom.

TABELKA INFORMACYJNA: W latach 1962–84 zajęcia z przedmiotu: piosenka w krakowskiej PWST. Tematy lekcji i dyplomów: musicale, piosenki kabaretowe, żołnierskie, ludowe, studenckie, kowbojskie; filmowe, międzywojenne – b. często

aktorami – od Treli i Stuhra poprzez Dymną do Piskorza, a 17 uczy w szkole – od Grabki poprzez Grabowskich do Jędryska.

– Czy da się ująć w kilku punktach nieco spostrzeżeń Pani Profesor?

– Piosenka to jest utwór bardzo trudny, skondensowany. Jeżeli na scenie aktor ma szansę stopniowo rozwinąć postać, to w piosence ma na to 3 minuty, musi sprzedać wszystko od razu i wiedzieć, kto to śpiewa, po co, do kogo, co i jak.

● Studenci bardzo lubią ten przedmiot, nigdy nie było kłopotów z frekwencją, na egzaminach i spektaklach dyplomowych sala trzeszczała w szwach. To satysfakcja, choć czasem wychodziłam z tych zajęć jak szmata.

● Od 5 lat uczę kultury bycia na scenie (inaczej zachowuje się dorożkarz, a inaczej lord), ale także savoir-vivre'u na co dzień – jak napisać podanie czy list, jak się podaje do stołu, jak się je – przede wszystkim jednak kultury bycia między sobą w szkole. Głównym moim celem jest stworzyć zgrany zespół, żyjący w takiej atmosferze, o jaką trzeba dbać w teatrze. Sama wyrosłam we wspaniałej atmosferze Starego Teatru i to chciałabym przekazać.

● Bardzo lubię młodzież i uważam za niesłuszne to, co się o niej mówi źle. Jest wrażliwa, bardzo chce się uczyć, ma bezbłędny gust, studenci są krytyczni, ale jak się



z rekwizytem, zawsze z ruchem i tańcem; wprowadzenie muzyki mechanicznej. Naukę pobierali i wyszli na swoje m.in. Demarczyk, Peszek, Tkacz, Dałkowska, Kryszak, Wyrodek, Wójcicki.

zachwyć, to się zachwyć. Nie są zakłamanymi, mówią prawdę. Być może dawniej łatwiej było o autorytet, ale też często oparty na konwenansie i fałszu. Nie lubię zresztą mówić, że uczę

farbami. Nie mam jednak uczucia nostalgii za teatrem. Jak patrzeć do tyłu, to widzę, że całe moje życie było kolorowe i nie żałuję nawet kolorów ciemnych.